

Bogusława Ruszczyńska
z domu Nitecka

Warszawa, dnia 31. VII 2000 r.

76

ARCHIWUM AKT NOWYCH w WARSZAWIE	
2000 - 08 - 01	zat.
WPKYNEŁO	
ZNAK	060 - 230/2000

Archiwum Akt Nowych
Komitet dla Upamiętnienia Polaków
Ratujących Żydów
ul. Hankiewicza 1
02-103 Warszawa

W czasie likwidacji getta w Chełmie ojciec mój Benon Nitecki przyprawił do domu przy ul. Ogrodowej 59 dwie Żydówki. Były to: pani Gielbardowa z domu Lewinówna, córka miejscowego felczera pana Lewina z ulicy Lwowskiej (tam miał własny, drewniany dom), żona lekarza stomatologa, majora Wojska Polskiego, oraz Jej córka Lusia, dziewczynka nastoletnia trochę niepełnosprawna umysłowo.

Moja rodzina to: ojciec Benon Nitecki (nauczyciel w Liceum Pedagogicznym, zmarł w 1949 r.), matka Barbara (nie pracująca, zmarła w 1979 r.) oraz córki: Halina (zmarła w 1975 r.) i ja, Bogusława (obie w owym czasie nastolatki).

Obecnie z całej, czteroosobowej rodziny żyją tylko ja i od kilku lat staram się odszukać, żyjącego jeszcze w 1965 r., syna pani Gielbardowej - Adzika - lub kogoś (jeżeli On nie żyje) z Jego rodziny.

Obie panie Gielbard były przechowywane w naszym domu przez kilka miesięcy. Mieliśmy nad strychem domu dodatkowy stryżek, gdzie w pozycji siedzącej i leżącej można było w takiej sytuacji żyć. Dom (drewniana willa z ogrodem) był oddalony od śródmieścia i wieczorem panie mogły rozprostować nogi i pochodzić w ogródku w zupełnej ciemności pod naszą opieką.

Ojciec mój (tak jak cała rodzina) należał do AK. Miał pseudonim „Benito”. Znanymi sposobami Ojciec zaczął załatwiać fałszywe Aussweis’y dla obu pań i syna pani Gielbardowej - Adzika. Jego Niemcy zatrudniali jako robotnika w koszarach.

Ojciec mój spełnił prośbę pani Gielbardowej. Chodziło o opuszczenie Chełma, w którym ta rodzina była znana, i zamieszkanie w Warszawie. Ojciec załatwił dla nich również lokum.

Ze względu na bezpieczeństwo nie można było wyjeżdżać bezpośrednio z Chełma. Trzeba było dojechać dorożką do pierwszej stacji, na której zatrzymywał się pociąg, t.j. do stacji Zawadówek.- Tam należało wsiąść do pociągu. Na wyjazd pani Gielbardowa ubrana była w strój wdowi. Miała czarny woal na twarzy. Lusia i Adzik nie mieli rysów semickich. Dotarli do Warszawy bez kłopotów.

Dzisiaj nie pamiętam dokładnie, który to był rok i ile miesięcy upłynęło od Ich wyjazdu (były święta Bożego Narodzenia), kiedy ojciec dostał depezę następującej treści: „Benon przyjeżdżaj natychmiast Maria”. Depeszę tę nadała bratowa mojego Ojca Maria Nitecka, wdowa po bracie Kazimierzu, rozstrzelanym przez Niemców na Starym Rynku w Bydgoszczy w dniu 9 września 1939 r. Ojciec pojechał natychmiast. Co się okazało. Otóż ci - zdawało się - pewni i zaufani ludzie, u których mieszkała rodzina Gielbardów, jednego dnia

wyrzucili ich na bruk. Nie wiem, skąd pani Gielbardowa wiedziała, gdzie mieszka uciekinierka z Bydgoszczy, bratowa mojego Ojca, ale właśnie u Niej na Wilanowskiej zjawiała się cała trójka.

Stryjenka moja już przechowywała Żydów z Bydgoszczy - pana doktora Kierca, kardiologa, i - jeżeli dobrze pamiętam nazwisko drugiego mężczyzny - pana Arbusmana. Była w fatalnej sytuacji, mieszkała z 80- letnią matką, dwojgiem nastoletnich dzieci Haliną i Jerzym oraz z siostrą Apolonią Wiśniewską, wdową po kapitanie Wojska Polskiego, zabitym w kampanii Wrześniowej pod Sochaczewem, i jej synem Leszkiem.

Zadepeszowała do mojego Ojca, aby pomógł Im w tak ciężkiej sytuacji.

Przebywanie jeszcze rodziny Gielbardów było i dla jednych i dla drugich bardzo niebezpieczne, wręcz niemożliwe. Ojciec znów znalazł dla rodziny Gielbardów jakieś lokum.

Aż do 1945 roku nie wiedzieliśmy, co się dzieje z rodziną Gielbardów. W lecie 1945 r. pani Gielbardowa wróciła do Chełma i przyszła do nas. Jedliśmy akurat obiad i poprosiliśmy ją do stołu. Powiedziała „to będzie już mój trzeci obiad, ale jestem tak wygłodzona, że skorzystam z zaproszenia”.

W 1946 r. wyjechałam z Chełma do Warszawy. Dowiedziałam się od Rodziców, że pani Gielbardowa zmarła na zawał serca.

W 1948 r. spędzałam lato u Rodziców wraz z moją 10- miesięczną córeczką. Przyszli wtedy do mnie goście. Nie mogłam poznać, kto to jest. A to była moja koleżanka gimnazjalna Esterka Libchaber do 1939 r., a potem Gienia Różycka, mężczyzna w mundurze marynarza to Adzik Gielbard, a ta trzecia osoba w mundurze wojskowym, to chyba był brat mojej koleżanki. Wtedy ucieszyliśmy się, że żyją. Opowiadali, że walczyli w Powstaniu Warszawskim.

I aż do 1965 r. nie mieliśmy żadnego kontaktu z uratowanym Adzikiem Gielbardem. We wrzesniu tego roku odbywał się zjazd absolwentów Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie, na który pojechałam wraz z mężem. Przyjechało mnóstwo ludzi, kilkaset osób. Wspólny obiad jedliśmy przy długich stołach i traf chciał, że na przeciwko mnie siedział Adzik Gielbard. Nie poznaliśmy się. Rozmowa toczyła się na różne tematy, między innymi, gdzie kto z nas mieszkał, na jakiej ulicy, kogo znał i.t.p. On wywnioskował, że ja jestem Nitecka z ulicy Ogrodowej. Powiedział, że chciałby ze mną porozmawiać o moim ojcu. Powiadomiłam Go, że mój Ojciec dawno nie żyje, że zmarł w 1949 r. Wtedy on przyznał się „a ja jestem Gielbard”. Trudno opisać, jakie uczucie wtedy mnie ogarnęło. Opowiadał mi, że walczył w Powstaniu Warszawskim, siostra Lusja zmarła na wszawicę w Chełmie. On ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim i zmienił nazwisko. Byliśmy młodzi (ja miałam 41 lat, teraz mam 76), tańczyliśmy, bawiliśmy się i o koszarze okupacji mało rozmawiali. Na pożegnanie powiedział mi: „proszę pozdrowić ode mnie mamusię”. Wiedział, że mieszkam w Warszawie (też skończyłam Wydział Prawa), mam dzieci, poznał mojego męża. I tak to się skończyło.

W latach 80- tych, kiedy zaczęto mówić o antysemityzmie Polaków, poszłam do Instytutu Historii Żydów, aby odszukać Adzika Gielbarda. Opowiedziałam tam całą historię (którą tu w skrócie opisałam). Zaproponowano mi, abym to opisała do gazety „Folks Sztyme”, a wtedy może ktoś się odezwie. Instytut nie prowadzi żadnej ewidencji i nie może mi podać, jak się nazywa ówczesny Adzik Gielbard, ani co się z nim dzieje.

Nie chciałam dać za wygraną. Jestem jedynym żyjącym członkiem rodziny, która niosła pomoc nie bacząc na konsekwencje. Moim zmarłym rodzicom i siostrze oraz żyjącym dzieciom, wnuczkom i prawnukowi należy się coś, co świadczyłoby z jakiego są gniazda. Poszłam do Instytutu Yad Vashem, żeby tam zasięgnąć informacji. I tu również nic - ewidencji nie prowadzą, nic nie mogą pomóc.

Zrezygnowałam z poszukiwań. Jestem już stara, trudno mi przebijać się przez trudności.

Dopiero informacja w telewizji natchnęła mnie nadzieją, że jeszcze przed śmiercią załatwię tę sprawę i moi następcy będą wiedzieli, że to nie konfabulowanie babci, ale tak było.

Choć nie należy to do sprawy, pragnę jeszcze wspomnieć, że na tym historycznym stryszku przechowywali się, zagrożeni śmiercią z rąk hitlerowców, inni ludzie. Między innymi Ojca przyjaciel pan Franciszek Krakiewicz, nauczyciel wf w Chełmie, legendarny „Góral”, opisany przez Ślaskiego, którego Gestapo niestrudzenie poszukiwało (został zabity w potyczce); Anatol Jaroszkiewicz wraz z żoną Haliną, poszukiwano przez Gestapo. Te zdarzenia nie należą do sprawy i nie o to zwracam się do Komitetu.

Nie wiem, czy Państwa zainteresuje to, co podałam, ale ufam, że osoba pana profesora Adama Strzembosza, który gorąco zachęcał do opisywania takich przypadków, gwarantuje mi rzetelne rozpatrzenie sprawy, w której uczestniczyli moi zmarli rodzice, siostra i ja, jeszcze żyjąca.

Bożenawa Renczyńska